

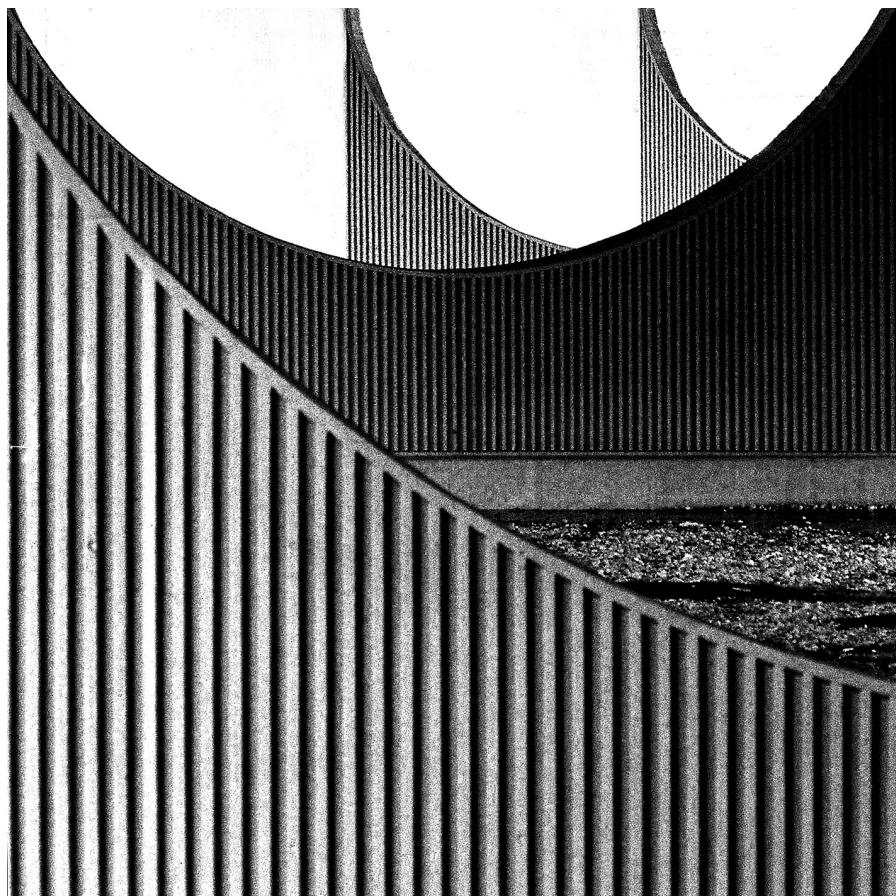
Myślę, że...**Przełożył Miłosz Waligórski**

każdy nowy rok zaczyna się mniej więcej tak samo: w terrorystycznym huku petard cichnie szept rokrocznie powtarzających się postanowień definitywnego i zdecydowanie bezkompromisowego porzucenia nałogów, z którymi już tyle razy bezskutecznie się rozstawaliśmy. Na marne. Czy po to się do nich przyzwyczajaliśmy, uczyliśmy jako tako z nimi żyć, żebyśmy teraz – osłabieni całoroczną walką i dlatego skłonniejsi do kompromisów – o dwunastej w nocy, z minuty na minutę mieli się ich wyrzec? Ci mniej wytrzymali poddają się już w pierwszych minutach nowego roku, my, zahartowani wszystkimi możliwymi i niemożliwymi pułapkami prób oraz doskonałą znajomością uroków „Pani Kusicielki”, idziemy sprawdzonym już torem, dawno wydeptaną ścieżką od punktu A do punktu B według wielokrotnie przez bardziej doświadczonych sprawdzonego hasła: każda zmiana jest zmianą na gorsze. A zmiana słów o wartości dodanej, wynikającej ze świątecznych okoliczności, na osłabioną skurczem codzienności zbitkę liter należy do najgorszych.

Jorge L. Borges gdzieś kiedyś napisał, że nam, którzy próbujemy wyrazić swoje uczucia, myśli, wrażenia, radości i krzywdy za pomocą słowa i którzy słowa traktujemy jak materiał budowlany, nie pozostaje nic innego, jak tylko cytować. Czy język rzeczywiście jest tylko systemem cytatów pozbawionym wartości dodanej? Dušan Mitana definiuje słowotwórcę jako kopistę, zapisywacza czy przepisywacza tekstów, które wcześniej istnieją w niewidzialnej przestrzeni. Jesteśmy cytowani i cytujemy, czerpiemy z cytatów innych i stajemy się współwłaścicielami ich myśli. Zasoby cytatów są niewyczerpalne. Są ich pełne magazyny – ładnie posegregowane i ponumerowane czekają na nas na zakurzonych półkach bibliotek. Słowa, słowa, słowa. Zacytujmy zatem: „Słowo – produkt wyższej czynności nerwowej, najbardziej komunikatywny środek porozumienia między ludźmi” – napisał gdzieś kiedyś Pavel Bunčák. „Słowo jest przyjacielem człowieka, ponieważ oferuje tysiąc możliwości, ale równocześnie też jego wrogiem, gdyż ani jedna z nich nie musi być właściwa” – apeluje Jozef Bžoch. Dla Antona Hykischa słowo to „trochę obraz, trochę film, dźwięk i przyroda, gest, muzyka i taniec. Jest wprawdzie przestarzałe, powolne, nieefektywne, ale przeniesiemy je do następnego wieku, ponieważ należy do narodu, który będzie żyć dalej – także dzięki słowu”. Sceptyk dodałby: do XXI wieku przenieśliśmy słowo wątpliwe, okaleczone, pozbawione diakrytyki i dotknięte demencją treści. Słowa uwięziliśmy w maleńkich klatkach esemesów i maili. Cierpią na niedożywienie i niedobór ostrego, sytego światła. Zostaną jednak przy cytatach: „Słowa? Są podobne do ludzi, którzy je stworzyli i którym służą: są stare i młode, głębokie i płytkie, silne i słabe, szorstkie i delikatne, mądre i głupie, złożone i proste, nadęte i skromne, żartobliwe i poważne, bogate

i biedne, uprzywilejowane i pozbawione praw” – napisał gdzieś kiedyś literaturoznawca Josef Felix. Postawił też precyzyjną diagnozę naszemu rozbitemu, skłóconemu stuleciu: „Kryzys człowieka i świata nierzadko jest również kryzysem znaczenia kilku kluczowych słów”. Czy mamy jeszcze w zapasie jakieś kluczowe słowa, które wyprowadziłyby nas z kryzysów i które nie byłyby dotknięte demencją treści, które w końcu na nowo odkryłyby i ożywiły szacunek wobec dostojnej wagi idei? Możliwości są. Poeta Milan Rúfus za wszystkie proponuje jedną – chyba tę najważniejszą: „Tylko schody świątyni. Tylko schody świątyni to słowa”.

„Romboid” 2008, nr 1.



Zdjęcie Tibor Winkler